



KLINIKA GILLETTE

(oczami tych, którzy przez nią przeszli)

„Klinika leczy pacjentów. Wspólnota troski wspiera ludzi”.

I. Klinika

Pamiętam, jak moja matka opowiadała, że w latach 60., kiedy miała mnie urodzić, klinik było niewiele, a szpital był dla chorych; wybrała więc najlepsze miejsce, jakie mogła: własny dom, własne łóżko.

Zaraz po moim urodzeniu była przy niej kobieta, ta, którą nazywano akuszerką, i powiedziała mojej matce, że wyszedłem udany – i że jeśli matka mnie nie chce, ona zabierze mnie do siebie.

Matka przeszła ją spojrzeniem. Ale może akuszerka nie wiedziała, że nigdy nie będę należał do jednej kobiety, tylko do wszystkich kobiet, które spotkam; i dwadzieścia lat później poszedłem do jej domu. Jestem człowiekiem słownym. Nie mogłem jej zawieść.

Ten początek to nie literacka ironia ani żart. Znaczy tylko jedno: klinika jako miejsce jest czymś nowym. Nie przychodzi do nas od Egipcjan ani od Asyryjczyków czy Babilończyków. Jest tylko wytworem systemu opieki zdrowotnej, który zrobił z choroby handel, a z jej leków markę.

Nigdy nie próbowała zastąpić szpitali, które pozostają instytucją; a jednak zawsze dawała pacjentowi do zrozumienia, że płacąc, może dostać więcej – to, co najlepsze.

Niektóre miejsca pełnią funkcję. Inne stają się możliwością.

Był to dzień otwarcia kliniki w moim mieście: pierwszej takiej, która mogła zaoferować pełną listę, zdolnej objąć całą medycynę, przynajmniej tę podstawową

– medycynę zwykłych ludzi, że tak powiem.

Wyznaczono trzech ordynatorów, tych, którzy mieli zbudować strukturę medyczną. Po przeprowadzeniu rozmów kwalifikacyjnych z lekarzami zamknęli się w pokoju, żeby wymienić poglądy na to, jak dokonać wyboru.

To, co następuje, przytaczam nie jako prawdę, lecz jako noir – opowiedziała mi to grupa zaprzyjaźnionych lekarzy, którzy właśnie przeszli na emeryturę z włoskiego systemu opieki zdrowotnej i opowiadali to nam, handlowcom, żeby nas rozśmieszyć i dać nam znać, że oni też mają swoje historie.

Opowieść, którą osobiście uważam za plotkę z podwórka, jeden z tych gorzkich żartów, którymi sami lekarze mówili o innych lekarzach – dziwnym i osobliwym gatunku, któremu nie powierzyłbym już nawet opieki nad moim kotem.

Zapisuję ją nie jako wyrok, lecz jako portret tego, ile nieufności zwykli ludzie zgromadzili już wobec medycyny, której nie czuli już jako swojej.

Opowiadano to tak. Najstarszy z trzech – człowiek, który pracował także za dawnego ustroju – powiedział, że wyjaśni, jak wybierać nowych lekarzy, według czegoś, co nazwał zasadą liczby trzy.

Jeśli znajdziesz lekarza, który dużo rozumie, wyślij go do medycyny rodzinnej: tam z doświadczeniem sam odpowie na większość pytań.

Jeśli znajdziesz średnich, zdolnych, ale nie błyskotliwych, daj ich na sale operacyjne: tak, kiedy otworzą, zobaczą, co znajdą, i nauczą się to naprawiać.

A tym, którzy rozumieją niewiele albo przychodzą z poleceniem partii i list zatrudnienia, daj zadania, w których – jak mówił okrutny żart – prawie całą pracę wykonuje za nich natura.

To była oczywiście wersja z podwórka. I jak każda opowieść z podwórka mówi mniej o lekarzach niż o tych, którzy ją opowiadali: o tym, jak mało wiary im zostało.

I tak narodziła się klinika. Jej prawdziwe doświadczenie tworzyli pacjenci; i mówili o niej tylko żywi – ci, którzy mieli szczęście, a nie ci, których dotknęło nieszczęście. A kiedy wszystko obracało się na gorsze, klinika z Północy – w każdym kraju – oznaczała to lepsze: bo Północ zawsze kojarzyła się z bogactwem i przemysłem, a tam płacenie za leczenie daje wrażenie, że jest ono lepsze.

Potem zamknięto zakłady psychiatryczne dla przestępców i narodziły się kliniki psychiatryczne – później przekształcone w kierunku chorób neurologicznych. Nie leczono już tylko uznanych za obłąkanych, lecz także inne choroby.

II. Epilog

Klinika to budynek. Wspólnota troski to coś więcej.

III. Strona autora

Ta praca nie powstała na zamówienie.

Nie została sprzedana.

Nie powstała w celach handlowych.

Została napisana, by dać świadectwo wartości rehabilitacji, ludzkiej godności i relacji między ludźmi.

Jedyna opłata, o którą proszę, to symboliczny dolar – nie jako zapłata za pracę, lecz jako świadectwo wspólnego zaangażowania w kulturę troski, nadziei i odpowiedzialności.

Ferdinando